

O cyganach i katastrofistach (4)

Bronisław Ludwik Michalski

Michalskiemu prawie we wszystkich wspomnieniach wyrządzano krzywdę. Wyłania się z nich historyk i nałogowy alkoholik, żyjący na koszt starszych kobiet, a do tego awanturnik, tym niebezpieczniejszy, że łudzący ofiary pozorami łagodności. „Broniek - pisał Piętaś w swoich „Portretach i zapiskach” - żył z jakimiś przypadkowymi starszymi kobietami, nie miał łączności z domem rodzinnym, z nikim ze swego dawnego świata, który pewnego dnia rzucił...” A o dwie strony dalej: „Z przerażeniem spostrzegłem, że po kilkunastu dniach pijackich kiedy to Broniek wracał z komisariatu, gdzie go zatrzymywano, lub od starych kochanek, zmieniał się do niepoznania...” „Michalski wprowadzał w błąd - relacjonuje Szymański, nie wiem na podstawie czyich informacji. - Był po prostu zaskoczeniem. Wielkiej urody, wielkiej delikatności, miły i bardzo układny, do chwili, kiedy nie pił. Wówczas wszystko stawało się odwrotnością. Ten drugi Michalski był zjawiskiem częstym”.

Szymański Michalskiego nie znał, podaje charakterystykę z drugiej, albo trzeciej ręki. Stwierdzam kategorycznie, że ten „drugi Michalski” w ogóle nie istniał. Nie istniały „stare kochanki”, wymagowane przez Piętaś. Owszem mieszkał przez parę tygodni z Teresą, córką naszej Rozalii, ale to był odosobniony epizod. Smakowicie opisana przez Mrozowskiego w „Cyganerii” nocna scena w mieszkaniu Teresy przy ulicy Wolskiej została zmyślona od A do Zet. Zbyt dobrze znałem tę historię, abym mógł choć na chwilę uwierzyć w prawdopodobieństwo powyższej sceny. Zresztą Mrozowski opisuje wyłącznie mroczne, ponure pijaństwa, jak gdyby do nich ograniczało się życie Michalskiego.

Wypiłem z Bronkiem - najpierw w Lublinie, potem w Warszawie - niejedną beczkę wódki i zjadłem niejedną beczkę soli, chociaż soli było znacznie mniej. Nigdy nie byłem świadkiem awantury przez niego wywołanej. Po pijanemu zachowywał się równie łagodnie i przyjaźnie jak po trzeźwemu. Jeżeli robił kawały, to prawie zawsze bezbolesne i w dobrym guście. A nie brakowało mu przy tym wdzięku i fantazji. Więc może dla kontrastu z przeczernionymi relacjami, kilka historyjek naprawdę dla niego typowych.

Idziemy we trójkę Krakowskim Przedmieściem w Lublinie. Miasto jeszcze śpi. W głowach huczy. Jest jakaś piąta nad ranem, słońce już wzeszło, ale go za domami nie widać. Śpiewamy. Naprzeciw dwóch policjantów. Paski pod brodą - są na służbie. Zatrzymują nas. „Panowie nie szanują nocnej ciszy!” „Jaka tam nocna cisza? - odpowiadam. - Dzień jak wół”. Rozmowa zaczyna schodzić na nieprzyjemne tory. Nagle interweniuje Broniek, który dotychczas stał na boczku, melancholijnie przyglądając się podskakującym wróblom.

- Panowie pohuszają nieciekawe tematy (po pijanemu zaczynał zjadać literę er), a tu macie jedyną okazję, żeby po niższej cenie nabyć tom wiekszy genialnego poety Bhońskiego Ludwika Michalskiego. W przedpłacie tylko złoty pięćdziesiąt, a potem będzie kosztować dwa złote. Tytuł tomu „Wczohaj”. - Phoszę - do jednego z policjantów, wyciągając notes i pióro - pańska godność i adhes?

Kto chce, może wierzyć, ale policjanci oszołomieni potokiem bronkowej wymowy, podali nazwiska i adresy, zostali wciągnięci na listę prenumeratorów i posłusznie wpłacili trzy złote.

- Ghatuluję panom - powiedział Bronek wyniośle. - Zrobili panowie wyjątkowy inteheh.

Wylewne uściski dłoni, władza salutuje zawianych poetów, idziemy długą ulicą ku Ogrodowi Saskiemu i dalej, na Sławinek.

Inna scena. Bronek jedzie na tylnej platformie tramwaju, jest pod lekkim gazem. Wsiada wyjątkowo piękna dziewczyn. Przy najbliższym przystanku stoi wózek z kwiatami. Bronek, rzuca się ku wózkowi, chwytając pęk białych bzów, nie licząc rzuca bilon wygrzebany z kieszeni, a stanowiący w owej chwili cały majątek, dogania tramwaj, który już zdążył ruszyć, wskakuje w bieg. Zgina kolano przed zdumioną panną i wręcza kwiaty.

- Gdybym był Dantem, pani byłaby moją Beathyczą. Ale jestem nieznanym lihycznym poetą i tylko mogę włożyć te kwiaty w hołdzie pani uhadzie...

Panna piecze raka, ale kwiaty przyjmuje, publiczność śmieje się ubawiona. Bronek wraca na tylną platformę i zapada w melancholijne rozmarzenie.

A propos Dantego. Specjalistą od autora „Boskiej Komedi” był Lucjan André, słaby poeta, a tęgi pijak, operujący zazwyczaj w okolicach Dworca Głównego. Wpadał z rozwichrzonym włosem do bufetu I-ej klasy, przysiadł się do pierwszego lepszego stolika, wychylał najbliższy kieliszek i mówił demonicznym szeptem. „Panowie nazywam się Dante Alighieri, właśnie wróciłem z piekła. Dajcie jeszcze wódki, to wam opowiem Per me si va nella città dolente...” Przeważnie chwytano. Ale raz narwał się na stolik, przy którym siedzieliśmy we czterech: Czechowicz, Domiński ja i jeszcze ktoś, bodajże właśnie Michalski. Znałem pierwsze tercyny trzeciej pieśni „Piekła” na pamięć, więc gdy André zaczął swoje „per me si va” wyrecytowałem mu dalszy ciąg. Gdy doszedłem do „queste parole di colore oscuro”, André wstał ze skwaszoną miną, postawił kołnierz od paletka - „Przepraszam pomyliłem się...” i natychmiast ulotnił się.

Siedzimy przy herbacie w pokoju na Dobrej. Jest już późna godzina. Bronka nie ma, przypuszczalnie wróci pod dobrą datą. Otwierają się drzwi, orientujemy się, że stało się coś doniosłego. Bronek jest wyraźnie przejęty, kucze włosy spadają aż na brwi, ciężko oddycha.

- Przyjaciele - mówi uroczystym głosem - przed chwilą rozmawiałem z mistrzem Wyspiańskim. Zaphosił mnie do stolika i postawił kieliszek jarzębiaku, a ja...

- Ależ Bronek - Wyspiański od dawna nie żyje!

- Nie przezywaj! Wchodzę do knajpy i staję jak whyty. Przy stoliku - Wyspiański. Podchodzę mówię „Mistrzu!” i całuję go w hękę. A on wcale się nie zdziwił. „Siadaj - powiada - młodzieńcze” Zahaz kelneh przyleci z dhugim kieliszkiem...

- Wyspiański umarł przed prawie trzydziestoma laty. Gdzież to było?

- W „Myśliwskim” Umahł czy nie, a ja z nim piłem. Hozmawialiśmy o poezji, a on gładził długą czahną bhodę i potakiwał.

Oczywista Broniek pomylił z Wyspiańskim Kazimierza Przerwę-Tetmajera, który istotnie często siadywał w Barze Myśliwskim, a kto wie, zważywszy na ówczesny jego stan umysłu może dał w siebie wmówić, że jest zmartwychwstałym autorem „Wesela”. Ale i po wytrzeźwieniu Broniek nie przyjmował żadnych perswazji i twierdził z całą powagą, że pił wódkę z Wyspiańskim. Był po swojemu dowcipny i lubił, jako się rzekło, płatać figle, ale bez przykrej złośliwości. Również lubił zasadnicze dyskusje.

Kiedyś wpadł w towarzystwo marksistów, których organicznie nie znosił. Dyskutował zaciekle, ale z biegiem czasu przygodni polemisci nabrali pewnych wątpliwości. Wreszcie jeden odważył się zapytać: „A właściwie czy pan czytał Marksa? Bo pańskie interpretacje wydają się dość...” Broniek z wdziękiem przechylił kędzierzawą głowę: „Za kogo pan mnie bierze? Czy ja rzeczywiście wyglądam na takiego duhnia, żeby czytać Mahksa? Jestem lihyczny poeta i pan mnie obhaża...”

Piętak napisał, że Michalski nielitościwie wyszydzał jego chłopskie pochodzenie. „Zwłaszcza - czytamy na str. 86 „Portretów i zapisków” - bicie we mnie chłopstwem raniło mnie... Jakież było moje zdumienie, kiedy w rok później dowiedziałem się, że Broniek pochodził, tak samo jak ja, z chłopów. Był synem kowala z małej osady małopolskiej, Sieniawy, który wzbogacił się na handlu czy kuźni...”

I znowu muszę zaprotestować. Piętak był przewrażliwiony i żarty brał zanadto na serio. Wszyscy z niego trochę pokpiwaliśmy, a już najbardziej Domiński. „Ciemny kmiotek z Wielowisi” - trudno było w tym dopatrzeć się jakiejś klasowej pogardy, jak to podejrzewał Piętak. Miewał on częste zamyślenia, nieraz jedząc obiad, nagle sztywniał i zastygał, z widelcem zatrzymanym w połowie drogi do ust. Broniek śmiał się: „Stasiu, ty byś spróbował kotleta łyżką - widelcem to dla ciebie za trudno”. Któregoś dnia Piętaszek potknął się na schodach i potłukł dość dotkliwie. „A widzisz - pouczał go Broniek - trzeba schodzić tyłem, jak ze stodoły po drabinie, to sobie nic nie zrobisz...”

Mój, Boże, a któż z nas nie pamięta ze szkolnych czasów choćby takich odezwań się, jak: - Ty ciemna maso! Z jakiej wioski przywieźli cię w worku? Ależ z ciebie kmiotek! - i tak dalej. Miałem wśród kolegów gimnazjalnych dwóch autentycznych hrabiów, a można było usłyszeć z ust syna woźnego pod adresem hrabicza: - Ach, ty żłobie z głębokiej prowincji! Dalibóg, z walką klas nie miało to nic wspólnego.

Czy Michalski był chłopskim synem, jak twierdzi Piętak? Że ojciec miał kuźnię w starej, lepsze

czasy pamiętającej Sieniawie, jeszcze niczego nie dowodzi. Po katastrofie powstania styczniowego zawaliły się tradycyjne hierarchie społeczne, degradacji gospodarczej podlegali nie tylko szaraczkowie i średnia szlachta, ale i poniektóry karmazyn. Miały te sprawy swoje reperkusje także w nędzarskiej Galicji. Ze skąpych wiadomości jakich Broniek niekiedy udzielał półgębkiem mogłem wywnioskować, że pochodzą albo z mieszczaństwa, albo z drobnej, zdeklasowanej szlachty. Wrodzona kultura osobista, zupełnie wyraźnego typu, świadczyła, że nie wyniósł jej tylko z gimnazjum czy uniwersytetu. To zresztą nie jest takie ważne jeśli chodzi o Samego Michalskiego; większe posiada znaczenie jako przyczynek do obolałej wrażliwości Piętaka.

A cóż z tymi „starymi kochankami”, z ową Teresą, córką Rozalii Sawickiej, gospodyni na Dobrej? Niestara wdówka, niewiele starsza (może o trzy, cztery lata) od Michalskiego przystojna i dość jeszcze ponętna, zakochała się w Bronku i zagięła na niego parol. Była stroną atakującą i przy milczącej aprobacie matki dopięła swego, wyczekawszy aż zdybie Bronka samego. „Panie Józiu - mówiła mi Rozalia - przecież wdowa, to nikt się nie zgorszy, a pan Bronio sam jeden na świecie, czemuż by się nie mieli pokochać? Nie grzech!” Broniek długo wahał się, zanim zdecydował się przenieść do Teresy. Miała spore, całkiem przyzwoite mieszkanko na Woli, piętnastoletnią bardzo ładną córkę. Zarabiała jako szwaczka. Broniek zwierzył mi się pierwszemu. Akurat otrzymał stypendium z Funduszu Kultury Narodowej w wysokości pięciuset złotych. Trzeba było wykupić maszynę do szycia, zastawioną w lombardzie na placu Napoleona.

- Kobieta spokojna, pracowita - uzasadniał Michalski swoją decyzję. Będzie szyc, ja będę zarabiał korepetycjami. Muszę się o coś zaczepić, jakoś ustatkować nie mogę tak ciągle od knajpy do knajpy. Chcę zabrać się do uczciwej pracy. Wykupię maszynę, zostanie mi przeszło trzysta złotych do wspólnej kasy - jakoś to pójdzie.

Żywiłem poważne wątpliwości, ale nie odmawiałem. Gdyby Teresa miała obok pewnego wdzięku sprytną samiczkę, nieco inteligencji i wrażliwości gdyby potrafiła stworzyć Bronkowi miłą atmosferę dnia powszedniego i znalazła coś wspólnego poza stołem i łóżem, ich związek miałby jakieś szanse przetrwania.

Czego Michalski szukał na Wolskiej? Nie zysków, bo wkładał więcej niż otrzymywał. Szukał ostatniej szansy życiowej, ale trafił pod niewłaściwy adres. To był rozpaczliwy gest człowieka ginącego, który chwyta się przysłowiowej brzytwy, zanim pójdzie na dno.

W dwa dni po zainstalowaniu się Bronka na Woli, „wspólny pokój” został zaproszony na wystawną kolację. Teresa promieniała, wyglądała całkiem przyjemnie. Powiedziałem jej, że bardzo ostatnio wyładniała. Błysnęła zębami: „To od tej roboty. Udał mi się ten czarny Cygan, ależ udał!” Biedaczka, nie orientowała się, że czarnowłosa uroda cygańska kryje problemy, których samą „robotą” nie można było rozstrzygnąć, ani okiełznać. Po paru tygodniach Michalski wrócił na Dobrą. Teresa rozpaczała, próbowała ściągnąć go z powrotem - nadaremnie. Na otarcie łez pozostała jej maszyna do szycia, wykupiona przez Bronka z lombardu.

„Stare kochanki!” Mógłby je mieć, gdyby chciał. Jakoś trafił do Zofii Nałkowskiej, która lubiła

otaczać się młodzieżą literacką. Potem malowniczy Geoffrey Montalk of Potocki, „król polski i wielki księże litewski, Władysław V”, z którym w owym roku 1934 widywaliśmy się dość często, karciał Bronka, że nie wraca do salonu, gdzie autorka „Granicy” efektownie drapowała się pod przyćmionym abazurem. „Przecież - przekładał - taki Boguś Kuczyński nie umywa się do ciebie! Mógłbyś załatwić sobie raz na zawsze wszystkie kłopoty”. Broniek rzewnie uśmiechał się, do salonu Nałkowskiej więcej nie poszedł.

Przyjaźnił się z Haliną Dąbrowską, ale o żadnych intymnościach nie było mowy. „Broniek Michalski - insynuuje z cicha pęk Mrozowski w „Cyganerii” - w pewnym czasie, w tajemnicy zresztą przed nami, utrzymywał bliski kontakt z pisarkami średniego pokolenia i cieszył się u nich dużym wzięciem” A na tej samej stronie (229) informacja, że do Dąbrowskiej „wprowadził nas Michalski”. Jeżeli wprowadził, to gdzie tajemnica? Ach, ci „przyjaciele”, rozgrzebujący popioły, jak gdyby chodziło o wielkomiejskie śmietniki!

Nałóg alkoholowy pogłębiał się. Nie byłem już wtedy stałym lokatorem, wpadałem do Warszawy na kilka dni, niekiedy na parę tygodni. Staraliśmy się ratować Bronka, jak się dało. Jeśli nie było innego sposobu, buty szły pod klucz i poeta siedział w skarpetkach. Nie protestował. Miał zresztą swoje sposoby, a i durna Rozalia stawała się cichą współpracowniczką. Przyjeżdżam rano z Lublina - ekspres Budapeszt-Warszawa przychodził, jeśli mnie pamięć nie myli, koło 8-ej, - załatwiam parę spraw, wpadam na Dobrą. Towarzystwo - w międzyczasie doszedł wspomniany już malarz Jan S. Miklaszewski - jest bez grosza. Całej ferajny zapraszać do knajpy nie będę. Zresztą widzę, że buty Bronka są pod aresztem. Wołam Rózię, daję kilka złotych. Ma być chleb, masło, jajka, kiełbasa... Po kwadransie siedzimy grzecznie, zajadamy jajecznicę, popijamy herbatą.

Ku ogólnemu zdumieniu Broniek zaczyna zjadać literę er - nieomylny znak, że jest pod gazem. Co u diabła? Przecież był najzupełniej trzeźwy! Widzę, że coraz to sięga do czajnika i dolewa herbaty. Nigdy go o takie herbaciarstwo nie posądzałem. Coś mnie tknęło, wyjmuję szklankę z ręki, wacham - spirytus! Naturalnie usłużna Rozalia przyniosła ósemkę, wręczyła ją w chwili naszej nieuwagi ubóstwianemu Broniowi, ten ukradkiem, z kieszeni, dolewał spirytus do herbaty i zalał się w cuglach.

„Nie miał łączności z domem rodzinnym - napisał Piętek w „Portretach” - z nikim ze swego dawnego świata ..” To znowu nie tak. Od jesieni 1934 do wiosny 1935 Michalski był dwukrotnie w Lublinie, u siostr i szwagra. Ostatni bodaj raz przed zgonem spotkałem go także w Lublinie gdzie zatrzymał się po drodze z rodzinnej Sieniawy. Był w dobrej formie. Parę tygodni spędzonych w Sieniawie znakomicie mu posłużyło. Opalił się, wyglądał zdrowo, ładnie opowiadał o łąkach i kwitnących sadach nad Sanem. „A wiesz - trzepnął mnie łagodnie po plecach - przez cały czas nawet pół literka nie wypilem”. A przecież pamiętałem go sprzed miesiąca zaledwie, zdradzał wyraźnie objawy delirium tremens.

Poszliśmy do knajpki na bigos. Chciałem sprawdzić i Broniek zaskoczył mnie. Ćwiartka na dwóch to było niewiele. Zazwyczaj Broniek nie wytrzymał, każda kolejka prowokowała

następną. Tym razem pierwszy uznał, że czas na nocleg. Jeszcze spacer starym szlakiem poza Ogród Saski. Był zupełnie trzeźwy, poważnie mówił o planach na przyszłość, o tomie „Spotkanie z brzozą”, już gotowym do druku, wiele sobie po tej książce obiecywał. Następnego dnia odprowadziłem go na dworzec. Po miesiącu przyszła depesza od Czechowicza: „Broniek nie żyje - zawiadam rodzinę.”

Wiele deliberowano i wówczas i w wiele lat później nad przyczyną samobójczej śmierci. Że jakiś sentymentalny dramat w młodości, że alkoholizm, że brak sukcesów literackich... Zapewne, mogły to być gwoździe do trumny, ale sama trumna spod innego wyszła hebla. Może najbardziej do prawdy zbliżył się Lew Gomolickij młody poeta rosyjski, zamieszkały w Warszawie, przyjaciel Czechowicza. Napisał on o Michalskim, że zabiła go bezbronność wobec życia. Podobno gdy w szpitalu Broniek odzyskał na krótko przytomność wymamrotał: „To jest słuszna kara za wszystkie łajdactwa...” Więc także skrajne wyczulenia moralne, maskowe pozorną beztroską i kpina.

Owe bzy, ofiarowane nieznannej dziewczynie w tramwaju i bezsilne „Gdybym był Dantem pani byłaby moją Beatrycją...” Nie, nie był Dantem. Ale za życia przeszedł przez piekło udręk psychicznych i moralnych, więc pewnej chwili przykrył się chłodnym nurtem Wisły, by nie oglądać więcej świata, do którego nie nadawał się. Po innych takie same udręki spływały jak woda z gęsi. Ilekroć myślę o Michalskim, zawsze przypominają mi się wiersze romantycznego poety, który wprawdzie samobójstwa nie popełnił, ale od najwcześniejszych lat chodził w cieniu przedwczesnej śmierci:

*Ich dusze z światła Bóg posplatał,
w jasnych promieniach wiódł z otchłani.
I nie stworzeni są dla świata,
jak świat stworzony był nie dla nich.*

Niektórym obserwatorom z boku szarpanina mieszkańców „wspólnego pokoju” wydawała się dość żalną i niepotrzebną farsą. W wypadku Michalskiego była to jednak farsa, za którą w epilogu płaci się życiem.

„Owczarz z Wielowisi”

Rozpisałem się o Michalskim dłużej, gdyż we wspomnieniach osób, które znały go bliżej, tragiczny jego profil rozplywa się i nabiera cech karykaturalnych. U Piętaka portret stał się niejako projekcją przeżyć samego autora; Mrozowski zapamiętał tylko to, na co było go stać: tylko pijacką powierzchwnię, tylko najbrutalniejszą anegdotę. Najuczciwiej, najbardziej bezstronnie, starając się dotrzeć do wnętrza, pisali o Bronku ludzie, którzy albo w ogóle go nie znali, jak Wiesław Szymański, albo tacy, którzy stykali się z nim przelotnie, jak choćby wspomniany już Lew Gomolickij.

Po ćwierćwieczu Piętak przypomniał, że odprowadzający go po pogrzebie Michalskiego, „młody poeta chłopski”, Marian Kubicki, powiedział, żegnając się: „Wiecie, wszyscy byli

przekonani, że to nie Michalski, ale wy pierwsi zrobicie z sobą koniec... że jesteście całkiem spustoszeni na duchu i że te wiersze wasze ostatnie to aż jęczy, jakby kto was dusił..." Czyżby już wtedy dostrzeżono znamię przyszłego samobójstwa?

Przy zupełnie odmiennej poetyce, Piętaka łączyło z Michalskim nadzwyczaj intensywne odczucie pejzażu. Ale w innym ujęciu. Michalskiego nie bez pewnej racji posądzano o panteizm, o utożsamianie się z pejzażem. U Piętaka krajobrazy, bujnie wezbrane niekontrolowanym przypływem, są jakby szeregiem umówionych znaków, pod które zawsze można podstawić doznania wewnętrzne. Dlatego też mimo wszelkich załamania i trwogi głucho tętniącej pod skórą, liryki Michalskiego są bardziej jednolite i zharmonizowane. Wyobraźnia Piętaka jest potężniejsza, ale trudniej poddająca się kształtowaniu: to żywioł, występujący z brzegów i zrywający wszystkie mosty. I dla wielu na tym właśnie polega jego autentyczna chłopskość.

Próżno jednak i w nim i w jego twórczości dopatrywać się „ludowej krzepy”. To był pisarz niezmiernie skomplikowany i uwrażliwiony, a nawet zakompleksiony. A jednocześnie w całym sposobie bycia dziwnie chłopięcy, naiwny i łatwowierny. Łatwo spływał ciemnym rumieńcem, wtedy wargi napływały krwią i - wypisz, wymaluj! - wyglądał jak zażenowana panna. Jakos w lutym 1938 roku, wkrótce po otrzymaniu Nagrody Młodych, Pięta wraz z paroma innymi poetami występował na „podwieczorku” w Simie, u Zofii Arciszewskiej. Recytował wiersz z pamięci, zaciął się, zaczął od początku, zaciął się znowu w tym samym miejscu, bezradnie rozłożył ręce, gęsto poczerwieniał. Dwudziestoosmioletni rosły mężczyzna zamienił się w zakłopotaną pensjonarkę. Kontrast był tak niezwykły, że rozbawieni bywalcy kawiarniani dali mu huczne brawo. Potknął się jeszcze raz, zawsze na tym samym kamieniu, i dopiero czwarta próba skończyła się zwycięsko. Rozbroił całe towarzystwo i zszedł z estrady przy akompaniamencie szczerych oklasków i radosnego śmiechu.

Łatwowierność Piętaka była bezgraniczna. Wobec kawałów był najzupełniej bezbronny. Umówiliśmy się, że projektowaną przez mnie Bibliotekę Poetycką „Dźwigarów” zainauguruje jego debiut, „Alfabet Ocu”. Papier i introligatora wzięłem na siebie, do rozliczenia w przyszłości, koszt druku pokrywał sam autor, z przyznanego mu właśnie stypendium. Skład i druk szesnastki kosztował w lubelskiej drukarni 60 złotych. Nie pamiętam już, czy tomik miał trzy czy cztery arkusze, w każdym razie wypadło od 180-ciu do 240-stu złotych.

Siedzę więc w Lublinie, zaniósłem do drukarni ostatnią maszynową korektę, papier - pocięty, introligator - zamówiony. Z Warszawy przychodzi list. Długi, rozpaczliwy nabrzmiały łzami, inwektywa goni inwektywę. Pięta wymawia mi przyjaźń i kończy list następująco: „Mam do ciebie wiele szacunku jako do poety, ale żadnego - jako do człowieka. Nie odpowiadaj - nie potrzebuję twoich usprawiedliwień!”

Cóż się stało? Ano, Domański i Michalski, w przystępie dobrego humoru, postanowili zabawić się kosztem Piętaszka. Zjawili się z grobowymi minami i oznajmili, że właśnie rozmawiali z jednym z przyjaciół, który był w Lublinie. Łobodowski przepił sumę przeznaczoną na druk,

książki nie będzie. „To, może nawet lepiej - dodał niewinnie Broniek, - bo debiut chyba przedwczesny.” Piętaś uwierzył, wpadł w rozpacz i wykropił ów groźny list.

Minał tydzień. Zjawiam się w Warszawie z pierwszą partią „Alfabetu oczu”. Akurat „wspólny pokój” był w komplecie. Otwieram walizkę, wydobywam z niej pachnące farbą drukarską i klejem egzemplarze. Pokazuję z daleka, ale do siebie nie dopuszczam. „Nie, najpierw włącz pod stół i odszczekaj coś nagryzmolił!” Piętaszek zamienił się w żonę Lota, a potem przy akompaniamencie homeryckiego śmiechu pozostałych, rozkładał ręce, rumienił się i mamrotał jakieś usprawiedliwienia.

We wczesnej młodości ciężko chorował - nie pamiętam, a może w ogóle nie wiedziałem, o co chodziło - i choroba ta zostawiła mu dość częste i przewlekłe bóle głowy. Panicznie lękał się odnowienia dolegliwości. Czy to właśnie w niej należy szukać źródła tragicznego rozwiązania życia, nie mam oczywista, pojęcia. Sam Piętaś kilkakrotnie, przy różnych okazjach, wspominał o młodzieńczej chorobie, nigdy przecież bliżej jej nie określił. Bodaj-że chodziło o ostre zapalenie opon mózgowych.

Krytyka literacka długo nie mogła Piętaka rozgryźć, chociaż już pierwsza jego książka miała sporo omówień, między innymi dość wnikliwą recenzję Hieronima Michalskiego w „Zecie”. Piętaś na pewno nie był typem poety o wielkiej samowiedzy artystycznej, a jednak sam siebie najlepiej z biegiem lat określił. „Cała siła tych wierszy - pisał w roku 1942-gim, a więc prawie w osiem lat po debiucie - tkwi w splątaniu uczuciowym, w żarze serca i wyobraźni”. „I dziś - to już notatka z lat powojennych - nie opuszcza mnie przeświadczenie, iż w wierszach tamtych mieści się potężny ładunek nowości i prawdy, że poezja czai się nawet zza porwanych zdań i niekształtnej strofy... Sztuka moja jest uczuciowa, wielokrotnie bezkształtna, całkowicie pograżona w ciemnym wnętrzu osobowości, pełna kompleksów, aluzji i boleści niemal namacalnej... Jest w niej coś z ekstatycznego zaśpiewu bosego chłopca na pastwisku „urzeczonego i chorego...”

„Chłopskim nadrealistą” nazwał Piętaka Iwaszkiewicz i ze wszystkich etykietek przyklejanych poecie, ta chyba pasowała do niego najbardziej. A jednocześnie Iwaszkiewicz odkrył w autorze „Młodości Jasia Kunefała” odpowiednik wiejskiego owczarza. Osobom nie znającym dawnej polskiej wsi nic to określeni nie powie. Owczarz to nie był zwykły pastuch. Zazwyczaj znał się na ziołach, umiał zamawiać chorobę, więc uprawiał znachorstwo, a przede wszystkim łączył w sobie dwie cechy, pozornie wykluczające się nawzajem: samotność, zamknięcie się w życiu wewnętrznym i umiejętność opowiadania, bajczarstwa raczej, bo te opowieści zawsze przenosiły rzeczywistość w inny, nierealny wymiar. „Owczarz z Wielowisi” - tak, to, nienajgorsze określenie.

W „Młodości Jasia Kunefała”, powieści bardzo niedoskonałej, a na swój sposób czarującej, coraz to natrafiamy na miejsca typowo bajczarskie, urzeczone, „znachorskie”. Jest tam historia z Rasputinem, przeniesiona na polski, chłopski grunt, przy czym znikło i samo nazwisko ponurego bohatera i wszystkie realia carskiego dworu, rzecz wręcz kapitalna, nasycona surrealistycznym humorem, a tak autentyczna, że chyba Piętaś musiał ją usłyszeć w dzieciństwie z ust jakiegoś

„bajczarza” i zapamiętać. Przypominam sobie, jak bardzo smakował ten urywek Czechowicz, wcale nieskłony do zachwyków nad innymi pisarzami, a zwłaszcza tymi, których uważał za swoich „podopiecznych”.

W jakiś czas po rozleceniu się „wspólnego pokoju” Piętaś dał się wciągnąć w kawiarniano-knajpiarskie życie literackiej Warszawy. „Coś z narkotyku - przypomni w 1961-ym - miały dla mnie te posiedzenia w Ziemiańskiej”, a później w „Zodiaku”. Chodziłem do kawiarni codziennie... Królem niekoronowanym naszego stolika był Witold Gombrowicz... pierwszą damą dworu piękna i utalentowana Zuzanna Ginczanka¹, ja natomiast pierwszym paziem, Otwinowscy marszałkostwem...” Narkotyzował się kawiarnią, ale czuł się źle. „Nie czułem się wolny, byłem jak spętany przeszłością. Dym rozsnuwał się i widziałem skrawki wielowiejskiego nieba i przesywał mnie jak spazm, jak lęk we śnie, strach przed dalszym życiem”, „Stolik w „Ziemiańskiej” - pisał do niego ówczasnie jeden z przyjaciół - to rozpaczliwa pozycja, myślę, że wrócisz do Wielowscy - ostatecznie”.

W „Portretach i zapiskach”, złożonych przez Piętaśa wydawnictwu dokładnie na rok przed śmiercią, uderza zarówno szczerłość, nieraz posunięta niemal do ekshibicjonizmu, jak nieumiejętność obiektywizacji swoich wrażeń i wspomnień. Pisząc o przyjaciółkach żywych i zmarłych, Piętaś nie był w stanie usunąć się na bok, pozwolić czytelnikowi zapomnieć o autorze, skupić całe światło na twarzach wymienianych osób. Widzi ich poprzez siebie, istnieją po to, by mówiąc o nich, mógł pełniej pokazać samego siebie. W najlepszej swojej prozie Piętaś jest egotystą, lirykiem, którego ja wypełnia cały świat. Próby obiektywizmu, ilekroć je podejmował, zawodziły całkowicie.

To dlatego lata, w których Piętaś usiłował włączyć się w nurt „soc-realizmu”, przynosiły same klęski, wyniki kompromitujące artystycznie. „Dałem się na jakiś czas - pisał do mnie w paryskim liście - ponieść fali rewolucji”. Taka to była rewolucja i takie skutki. Pisał powieści, o których lepiej nie wspominać, próbował tworzyć poematy i wiersze o przemianach na polskiej wsi, męczył się, łudził, wpadał w przerażenie. Przerobionej i uzupełnionej powieści o Jasiu Kunefale nie chciano mu wydać, „bo za błaża, za egocentryczna”, „Oczywiście - notuje Piętaś w dzienniku pod 27 września 1951, - kilkunastu utworów z obecnego cyklu wierszy nie będę mógł wydrukować nawet w zbiorze. Są one za osobiste, za pesymistyczne, żal mi jednak, że nikt ich nie pozna...”

Trudno osądzić, w jakim stopniu ciężkie przeżycia tamtych lat wpłynęły na rozwój choroby nerwowej, która po jednym z nawrotów zmoęła go ostatecznie. Opublikowane w 1963 roku „Kartki z dziennika” pozostawiły niejedyn trop, mogący prowadzić ku rozwikłaniu zagadki. Chociażby zapis z 3 marca 1961 w którym poeta spowiada się, dlaczego od dłuższego czasu nie pisał wierszy: „Cofałem się ciągle - to kłopoty codzienności mnie odrywały, to gnuśność moralna, wynikająca

¹ W wywiadzie, ogłoszonym pośmiertnie w „Twórczości” przez Jana Śpiewaka, czytamy, że Piętaś poznał Ginczankę w Warszawie, w jesieni 1934-go roku. To oczywista omyłka. Ginczanka mieszkała wówczas w Równem, była uczennicą ósmej klasy gimnazjalnej. Do Warszawy zjechała na studia po maturze, a więc w rok później. O wcześniejszym, parodniowym nawet przyjeździe musiałbym wiedzieć, gdyż w tym okresie prowadziłem z nią stałą korespondencję.

z niechęci i rozpacz do tego, co mnie otaczało... Przemogłem się i oto staję sam na sam z męką słowa, z materiałem, który jest tak nabrzmiął od napięć ciemnych, rozkładowych, że gotów mnie unicestwić, a nie unieść ku słońcu, ku wyżynom czystego powietrza. To, co chcę pisać, trudne jest jeszcze do sprecyzowania... Może to będzie fantastyczny poemat, a może monolog wewnętrzny artysty, który na próżno szuka dla siebie miejsca w najbliższym świecie.”

Chwilami przecież jego liryka, prawie zawsze bolesna i wytężona, uspokajała się i zdobywała harmonijny kształt. Tom „Pośrodku żywiołów”, wydany na początku 1960 roku, przyniósł kilka wierszy wyjątkowo zrównoważonych, choć i w nich czai się na dnie przerażenie i rozpacz.

*Ofiarują nam podziemne morza
i niezbadane, szczęśliwe przestworza,
a my jednak patrzymy nimi,
bo trzeba nam tylko tyle Ziemi,
ile starczy na ukrzyżowane, rozpostarte ciało,*

*na rękę w powietrzu szukającą,
oniemiałą.*

W ostatnich latach krytyka krajowa zaczęła przyznawać poezji Piętaka bardzo wysoką rangę. Szymański w „Balladach przed burzą” uznał go za „jednego z najciekawszych twórców w dwudziestoleciu”. „Jest to poezja - napisał Zbigniew Bieńkowski już po śmierci Piętaka – w każdej chwili swego rozwoju nie podobna do szkół, kanonów, ideałów estetycznych, tak samo zwyciężających jak i przewyciężonych”. I zakończył swój szkic takim zapewnieniem („Twórczość”, 4 nr 1964): „Jest to chyba najbardziej osamotniona poezja współczesna. Nie wywoływała sporów, nie prowokowała polemik. A przecież była ustawiczną polemiką, ustawicznym sporem ze Światem. Tragiczna śmierć przecięła tę twórczość w chwili, gdy osiągnęła ona pełnię dojrzałości, gdy wątpliwość przełamała własną słabość i stało się tym, czym być powinno dla każdego artysty, solą mądrości”.

Lecz o poetach najlepiej świadczą ich własne słowa:

*...było tak, że nawet w jej ruchu najweselszym
widział poeta kształt niedopowiedzianego cierpienia.
Lecz było tak, że nawet w jej ruchu doskonałym
widział poeta, że słowa dla piękności nigdy nie miał...*

(Dokończenie nastąpi)